

Co ja robiłem w tej cholernej straży to ja nie wiem. Wiem tylko, że wraz z Sigmarem uznaliśmy za stosowne trochę zarobić. Tak właściwie to on, bo mi było obojętne ile nosze w sakiewce. Z mojej strony było w tym trochę ciekawości i nie wiem czego jeszcze. Ogólnie rzecz biorąc uznałbym, że tak po prostu miało być. Zastanawiałem się tylko czy dane osobowe podane porucznikowi będą jakoś weryfikowane. Nie uśmiechało mi się rozmawianie z komendantem na temat tego, dlaczego nie mam pojęcia gdzie się urodziłem. Specyficzny z niego osobnik.

Wyruszając z pierwszym zadaniem musiałem trochę zmienić wizerunek, żeby nie wyróżniać się wybitnie. Związałem włosy co bym uchodził za kogoś praktycznego. Porzuciłem zakonniczy strój i ubrałem zwykłe szarawary oraz grubszą koszulę.

Stojąc wśród członków naszego oddziału straży pogranicza właściwie cieszyłem się widząc grupę indywidualów, bądź co najmniej dziwnych osobników, gdyż obiecywało to coś ciekawego, aczkolwiek nie wykluczałem również czegoś nieprzyjemnego. Tak czy inaczej nie budziło to we mnie specjalnych emocji, może poza delikatnym podnieceniem przed czymś nowym. Po pewnym czasie delikatne podniecenie przerodziło się w całkowite znużenie i złość na siebie, że poszedłem do tej cholernej straży...

Oczywiście nie ruszało mnie długie chodzenie po górach czy też brak koordynacji grupy. Denerwowało mnie uzależnienie się od oddziału i rozkazów z powodu jednej, głupiej decyzji.

Zaciekawienie wzrosło, gdy w trakcie nudnego patrolu wypatrzyliśmy jakąś walkę. Irytacja minęła, gdy już po walce rozmawialiśmy z komturem zakonu Indry. Doceniłem oryginalność naszego składu i pracy w straży. Doceniłem to gdyż leżało w świetle napięcia, które odczuwałem od jakiegoś czasu. W zasadzie to całe życie chyba odczuwałem jakieś napięcie, ale załóżmy, że to się wyróżniało z tłumu. Szkoda tylko, że wtedy nie byłem do końca świadomy tego napięcia...

Wracając do obozu miałem już jakiś obraz naszego oddziału. Był to jednak obraz nędzy i rozpaczki, rozpatrując drużynę w kategoriach profesjonalnego wojska. Całkiem intrygujący był obraz każdego z osobna, a słysząc głośnie „A w dupie mam chorążego!” padające z ust dumnego, rycerza, skierowane do naszego dowódcy... Był również całkiem zabawny...

Zaczęła się wojna. Oficjalnie, na dobre. Barbarzyńcy atakowali północne forty...

A ja się cieszyłem. Jak dziecko. Było kilka powodów, które rozszyfrowałem dopiero później. Pomijam już fakt, że ciężko było kiedykolwiek zdjąć mi uśmiech z twarzy, ale teraz... To był punkt kulminacyjny. Zaczął się. Napięcie sięgało poziomu, jaki doskonale rozumiałem. Wiedziałem ile jeszcze, jak długo i jak bardzo. W końcu wiedziałem, w końcu coś się ruszyło. Sama walka sprawiała mi radość. Nie, nie zabijanie, nigdy, ale walka tak. I tu wplatał się chyba kolejny powód do radości. Skoro nie chciałem zabić, mogłem zginąć. Nie było mi to straszne, nie było mi to obce. Dziwne było jedynie to, że zawsze było mi to obojętne, czy też może wiedziałem, że mnie to czeka i byłem cierpliwy. Czekałem na ten moment jak na kolejny etap. Jak na posiłek. A teraz? Teraz jakbym miał w tym swoje spełnienie. Naprawdę musiało mi się pomieszać w głowie. Tak czy inaczej pozytywnym aspektem w tym momencie było rozładowanie napięcia związanego z oczekiwaniem i takie błogie

uczucie ludzkości. To była właśnie ta niesamowita dziecięcość. Kolejny rodzaj napięcia związany z szykującą się bitwą mile łechtał, choć przyprawiał o delikatne mdłości i nerwowość.

Siedziałem i czekałem patrząc na innych. Jednym uchem wlatywały do mnie dźwięki kłótni między strażą a jej przyczyną, czyli – jak to stwierdził nasz chorąży – plebsem. Siedziałem i czekałem. I patrzyłem na nich. Już wyobrażałem sobie ich sposoby walki, już chciałem ich w niej zobaczyć. Fascynowało mnie to. Jednak nie chciałem niczyjego cierpienia, nigdy...

Siedziałem i czekałem.

Szliśmy szybko. Tempo było dla mnie odpowiednie, a krok miałem lekki. Kontrolowałem przyspieszający oddech. Nie przyspieszał ze zmęczenia, nie przyspieszał ze strachu. Przyspieszał z podniecenia.

Twarze innych potęgowały to. Zachwycaly mnie i inspirowały, pobudzały wyobraźnię. Poważna i teraz już zawzięta mina Sigberta. Jego specyficzny sposób chodzenia. Może nie tyle co specyficzny, a dość luźny w porównaniu z wyrazem twarzy. Trochę kontrastował, jednocześnie zgrywając się idealnie. Miałem nadzieję, czy może świadomość, że jego potężny Zerwikaptur zerwie wiele... Wiele wszystkiego. Shamaroth był skupiony, szedł żwawym krokiem. Kapłan sprawiał wiele pozorów i dlatego niektórzy chyba musieli się dopiero przekonywać o jego wartości. Tak więc wbrew pozorom wiedział co robi buzdygan w jego ręku, wiedział też co zrobić z mocą jaka wypływała z jego wiary w Indrę. Swoją drogą, również wbrew pozorom oczywiście, zdawał się być swego rodzaju fanatykiem, co było potwierdzone jego szarżami na wroga z buzdyganem w ręku. A może to była tylko jedna z jego krasnoludzkich taktyk? Nigdy nie byłem zwolennikiem stereotypów, aczkolwiek... Tak czy inaczej prędzej można było go posądzić o nadmierne spożywanie alkoholu niż o jakąś mądrość i przydatność. To również były pozory... Yngvild. Yngvild nie kryła zacięcia i determinacji. Nie mogłem się temu dziwić znając jej sytuację. Choć wielki patriotyzm zawsze był mi obcy i nie mogłem go w sobie odnaleźć. Nawet nie wiem co mógłbym nim objąć... Hodo, jak większość, milczał lecz jakby ciszej niż zwykle. O tak, jego klingę też chciałem zobaczyć w powietrzu. Varthanis, nie wyglądający jakby tempo marszu było dla niego bardzo luźne, szedł ponuro z opuszczoną głową. Nie miał miecza, nie miałem czego oczekiwać. Poza oczywistymi trupami wrogów rozniesionych przez jego czary. Ta myśl mogła wydawać się przerysowana i baśniowa, jednak spodziewałem się ujrzeć takie sceny. Zibbo był poddenerwowany co wydawało się trochę dziwne, aczkolwiek nie wątpiłem w jego umiejętności i opanowanie w samej walce. Znajomy Sigmar szedł ociężale z młotem na ramieniu i choć tego nie okazywał również cieszył się na bitwę. Najśmieszniejsze jest to, że sam z siebie muchy by nie skrzywdził. Nie wszystkich widziałem, nie wszystkich mogłem wyobrazić sobie w walce czy jakkolwiek przeanalizować. Spojrzałem na niewzruszonego Arandira, nie zdążyłem w pełni wyimaginować sobie kolejnego kunsztownego i, w jego przypadku, pełnego gracji zwycięstwa nad wrogiem gdy usłyszałem z ust chorążego „stać!”. Dalej właściwie obyło się bez słów. Każdy ustawił się w stosownej pozycji.

... a ja objąłem dłońmi rękojeści moich nietypowych, kochanych mieczy...

Słońce w lewej...

Księżyc w prawej...

Szyk z linią tarcz na przedzie przesuwiał się systematycznie do przodu. W końcu rozdzielił się na dwie części, aby móc podejść barbarzyńców, którzy widząc to, sami się rozproszyli. Ja reagowałem jakby z opóźnieniem. Szedłem z opuszczoną bronią zachwycając się widokiem. W końcu włączyłem się mentalnie do bitwy. Przebiegłem na lewą stronę, gdzie był już Rigo z tarczą, uważnie obserwujący wroga, Yngvild na prawym skrzydle, która chyba przed chwilą tak jak ja uznała, że dołączy do mniej licznej części oddziału i teraz szła osłaniając się tarczą oraz w tyle Abel, osłaniany przez Borysa.

Kilka chemicznych wynalazków poleciało w naszą stronę rozpraszając kłęby trującego dymu, a co za tym idzie, naszą drużynę. Z naszej strony, poza kilkoma przekleństwami, wystrzeliły strzały raniąc, zabijając i prowokując barbarzyńców.

„Szyk! Szyk!” krzyczał Hodo ze skutkiem dużo efektywniejszym niż jeszcze kilka dni temu. Miarowo zbliżaliśmy się do wroga, aż w końcu odziane w futra skórojady z rykiem i impetem rzuciły się na nasze szeregi. Wielkie zamachy klingami jakie robili straszły, ale były oczywiste. Pierwszy taki zamach mniej więcej w moją stronę skwitowałem unikiem i lekkim zbieciem, dzięki czemu znalazłem się na tyłach pierwszej linii barbarzyńców. Jegomość, który to tak ładnie się zamachnął zatrzymał się na tarczy Riga, na którego szarżował, a poległ pod ciosem Borysa, znajdującego się po przeciwnej stronie. Następny, dużo większy pan, biegł już w to samo miejsce, aby skończyć tak samo jak poprzedni, z tą różnicą, że najemnik Rigo nie ustał na nogach po zderzeniu z nim, a klinga, która zakończyła jego żywot należała do mnie. Borys po wcześniejszym krótkim starciu ranił olbrzyma. Obróciłem się w prawo gdzie Yngvild zmagala się z kolejnym napastnikiem. Chciałem już tam podbiec, gdy zbiła tarczą jego atak i cięła go po nogach. Dalej reszta naszego oddziału przemieszczała się do przodu, najwyraźniej uporawszy się z przeciwnikiem. Skórojady zaczęły się wycofywać, na co część z nas zareagowała pogonią przyplaconą ranami ciętymi i obuchowymi. Trwało to na tyle krótko, że zdążyłem jedynie nawiązać kontakt wzrokowy z kolejnym wrogiem. Dzikie, fanatyczne oczy nie znały strachu.

Kolejnym strategicznym miejscem okazał się dość stromy wał, z którego zostaliśmy ostrzelani i obrzuceni truciznami i bombami. Znowu znalazłem się na lewym skrzydle. Ktoś krzyczał, ktoś gestykulował, aż w końcu usłyszałem rozkaz Hoda.

- Illima! Zajdziesz ich z Sigmarem od lewej, tamtą ścieżką!

Popatrzyłem na nieład jaki panował w naszych szeregach.

- Czekamy...

- Nie! Ruszaj!

Dołączył do nas Obieżyświat i przebiegliśmy kilka metrów po to, żeby schować się za drzewem przed lecącymi strzałami. Jak na zawołanie wystartowaliśmy biegiem do kolejnych drzew, a potem już tylko na drugą stronę wału. Obieżyświat pobiegł dużym łukiem, prawie znikając między drzewami, podczas gdy ja z Sigmarem próbowaliśmy podejść pod górę, jednak daremnie. Na górze czał się łucznik. Na głównym placu boju zakotłowało się, o czym świadczyły krzyki, szczęk stali i cała gama innych dźwięków.

- Sigmar! Biegniemy dalej!

Ruszyliśmy w momencie, w którym łucznik chyba skupił się na drugiej stronie wału. Już mieliśmy nadzieje na podbiegnięcie pod górę gdy rozległy się słowa inkantacji, zdecydowanie skierowane w naszą stronę. Przyśpieszyłem, tylko po to, aby po chwili poczuć jak sztywnieją mi mięśnie i zwałić się bezładnie na ziemię. Sigmar, sądząc po odgłosie, przeżył właśnie to samo, jednak z większą szkodą dla jego zdrowia, przez jego masę. To było słycać nad wyraz dobrze. Rozległy się kroki, ktoś zbiegał po skarpie. Sigmar wydał z siebie cichy jęk ranionego człowieka. Po chwili ktoś był już nade mną pochylając się, zabierając moje miecze i raniąc mnie. Na szczęście z tej samej strony, z której przybiegłem wybiegła część naszej drużyny, dzięki czemu klinga w moim ciele wynurzyła się zamiast wbić głębiej, a kroki zaczęły się szybko oddalać.

Po wyleczeniu przez eliksir Mony popędziliśmy z innymi dalej za barbarzyńcami. Niektórzy nie dotrzymywali innym kroku, byli zmęczeni, bądź jeszcze ranni. Nagle zaczął mnie Gadjung.

- Hej, Illima!

Spojrzałem na niego lekko zaskoczony.

- Coś dla Ciebie mam.

I wręczył mi jeden z moich mieczy.

- Bardzo Ci dziękuje. Jeszcze tylko drugi.

Uśmiechnęliśmy się i skończyliśmy konwersację.

Co jakiś czas wyprzedzałem kogoś idącego, albo opartego o drzewo. W końcu zatrzymaliśmy się. Hodo wydał rozkaz, aby kilka osób zaszło wroga od lewej strony. Kolejny wał. Tym razem poszło bezbłędnie. Coś pomiędzy piskiem a wrzaskiem rozdarło powietrze. Na początku przestraszyłem się, że plan nie wypali, a potem zoczyłem naszych wdzierających się w szeregi wroga, w tym bardkę Miję oddychającą głęboko. Cudownie, pomyślałem, po czym wbiegłem na wał...

Wszyscy walczący byli bardzo rozrzućeni po placu boju. W którymś momencie straciłem orientację i będąc święcie przekonany, że jestem w luźnym szeregu, w rzeczywistości byłem wśród wściekłych barbarzyńców. Chwilową konsternację przerwała lecąca we mnie wielka kula na łańcuchu. Ocknąłem się. Zastawiając się mieczem odsunąłem się z miejsca, z którego i tak zostałbym zmieciony, choćbym bardzo chciał w nim zostać. Moja parada pozwoliła mi na wyprowadzenie łatwego kontrataku. Zaatakowałem z ukosa przekręcając jedynie nadgarstki. Atak został sparowany przez drąg trzymany lewą ręką skórojada, po czym barbarzyńca zamachnął się po raz kolejny. Był dość blisko, a taką broń ciężko było blokować. Zbliźali się następni. Nie miałem pomysłu na jakieś niekonwencjonalne i szybkie zakończenie pojedynku. Jak przez mgłę usłyszałem „Apare torden vennisimi!!!”. Rozbłysło, huknęło, a barbarzyńca wyparował. Jedyne co przeszło mi wtedy przez myśl, a kończyło się na języku było ciche: „o ku...”. Po raz kolejny do życia przywrócił mnie przeciwnik. Tym razem szaman sądząc po ubiorze. Jednak jego szamańską naturę bardziej potwierdzał ogień, który osmalił mi twarz. Runąłem w panice do tyłu. Jakby tego było mało, podbiegł do mnie inny osobnik z zamiarem wbicia mi miecza w serce. Mojego miecza! Podparłem się jedynie rękoma, podniosłem pośladki z ziemi i odbiłem się do tyłu najmocniej jak mogłem. Wylądowałem zbyt wiele metrów dalej i niżej niż przypuszczałem, czy pragnąłem. Jednak zsuniecie się po kamienistej skarpie uratowało mi życie. Do barbarzyńcy dzierżącego mój miecz podbiegł Gadjung, nie przejmując się inkantacjami szamana. Z pomocą strzały któregoś z naszych łuczników łowca magów odzyskał mój miecz, po czym rzucił mi go z uśmiechem, gdy ja masowałem sobie tyłek. Wróg wycofywał się na widniejący w oddali most. Ci co nie dołączyli do wycofującej się grupy atakowali wściekle i

desperacko nie licząc na przeżycie lecz na zabranie ze sobą jak najwięcej z nas. Biegłem truchtem, spostrzegłem leżącą na ziemi włócznię, przełożyłem miecze do jednej ręki, a drugą chwyciłem leżącą broń. Nie zatrzymując się znalazłem cel. Kolejny niemały barbarzyńca, który wpadł w grupę, która była najbardziej narażona na ofiary. Jedyne Mija i Rien bronili współtowarzyszy, na których składali się Abel, Mona, ktoś leżący i jęczący oraz wicehrabia, który niby walczył, ale przyjął strategiczną pozycję chronienia tyłów bardki i szermierza. Wydłużyłem kilka kroków, żeby przeskoczyć z nogi na nogę i rzucić z rozmachem włócznią. Ciężko było trafić krytyczniej. Trafiłem w szyję od boku. Z nieprzyjemnym charczeniem dzikus legł bezładnie na ziemi. Nie wiem co wyrażała moja twarz przy wyjmowaniu broni ze zmarłego. Wtedy się nad tym nie zastanawiałem, a i teraz nie chciałbym tego wiedzieć.

Gdy ruszyliśmy w stronę mostu okazało się, że tutaj jeszcze nie jest całkiem czysto, gdyż barbarzyńcy rozdzielili się wcześniej i zaatakowali od tyłu. Teraz pojedyncze jednostki padały w agonii. Jedna przeleciała kilka metrów zmiażdżona młotem Sigmara, wydając przy tym kolejny z serii nieprzyjemnych odgłosów. Inna padła na kolana przebita trzema strzałami Arandira i Neila, a jeszcze inna zginęła od tej samej włóczni, którą przed chwilą wyciągałem, a którą rzuciłem widząc, że Dinim walczy sam jeden przeciwko wyższemu i szerszemu osobnikowi.

Gdy rozejrzałem się spokojniej po okolicy stwierdziłem, że walczyłem zupełnie gdzie indziej niż reszta drużyny. Dobiłem do nich. Ogółem trzymali się dobrze. Cieszyłem się. Uformowali już szyk, do którego dołączyłem. Stałem za Yngvild, trochę z boku. Gdy zatrzymaliśmy się na moście przyjęliśmy pozycję. Ja będąc za Yngvild obróciłem się do niej przodem, jednocześnie patrząc na wrogów, co dawało kąt 45\* między moim spojrzeniem a ustawieniem tułowia. Jedną rękę wyciągnąłem do góry, dzięki czemu miecz znalazł się nad głową gwardzistki, drugi miecz był pionowo przede mną chroniąc mój przód i jej bok. Czy może raczej tarczę – zdążyłem się już zorientować jak szybko lecą w drzazgi pod uderzeniami egzotycznej broni wroga. W ten właśnie sposób powstało coś otoczonego ze wszystkich stron mieczami, chronionego tarczą przed strzałami.

Owo coś działało dopóki walczyliśmy w szeregach, jednak gdy barbarzyńcy podjęli desperacki atak, wbijając się w szyk, trzeba było zmienić pozycje. Zajęczały luki. A potem ludzie. Chrapliwe wrzaski skórojadów stłumiły krzyki po naszej stronie. Obróciłem się w piruecie przepuszczając barbarzyńcę i tnąc na odlew pod żebra. Padł jak kłoda. Teraz widziałem nasze tyły. Przyklęknął Abel, a krew brudziła mu jasny strój. Wzniósł oczy ku górze, prawdopodobnie w ostatniej modlitwie. Przyklęknęła Mona. Nad Ablem. W niemym krzyku. Neil jak w zwolnionym tempie po raz kolejny naciągnął cięciwę, wpatrując się drapieźnie w cel. Ktoś potrącił mnie z boku. To Hodo, którego zmioła siła uderzenia wrogiej broni. Tarcza rozsypała się na kawałki. Powoli spojrzałem przez ramię na linię starcia. Dzikie twarze wroga, wykrzywione w przeróżnych nienawistnych grymasach. Nasi też krzyczeli. Rigo jakby chciał zabić tamtych wrzaskiem otworzył szeroko usta. Gdy minęła wieczność otworzył szeroko również oczy. Z przerażenia. Kolejny wbijający się w nas skórojad wpadł między najemnika a Yngvild, raniąc go. Osunął się i sturlał z boku z mostu. Gwardzistka również upadła, odrzucona w drugą stronę. Obracałem się w lewo śledząc wzrokiem barbarzyńcę, który teraz zatrzymał się na drugim szeregu i starał się przepchnąć wszystkich na drodze. Ostrza chaotycznie darły przestrzeń. Jedne trafiały celniej, drugie mniej. Trzecie wcale. Szarpnąłem opuszczoną ręką w górę, kreśląc wyprostowanym ramieniem okrąg w powietrzu. Skręciłem tułów i miecz zaczął rysować drugą półkulę. Ostrze niosące całą moją siłę, wspomaganą grawitacją padło na plecy schylonego dzikusa. Krew bryzgnęła mi na twarz. Miecz zatoczył koło... Gdyby nie kilkanaście centymetrów mięśni, ścięgien i skóry barbarzyńca rozpadłby się na dwoje. Zaszokowany i przerażony patrzyłem jak upada dolna część ciała, a za nią, pod innym kątem, ta górna ciągnięta przez mięśnie, ścięgna i skórę. W ten sposób minęły kolejne wieczności.

Poczułem dziwne dotknięcie mojego ramienia, a gdy nań spojrzałem okazało się, że jest przeszyte strzałą która jeszcze nie skończyła swojego lotu. Potem już tylko czułem wiatr i widziałem niebo. Jak wydedukowałem, spadałem na plecy. A miałem wystarczająco dużo czasu na dedukcję – wieczność...

Niebo wyjaśniało i stwardniało. Napierałem na ścianę czując jak trawi mnie ogień. Już nie krzyczałem...

Centrum bólu skoncentrowało się w ramieniu. Zacisnąłem zęby, wbijając ręce i nogi w błoto. Gdy w głowie przestało się kręcić i szumieć otworzyłem oczy. Nade mną klęczała Mona, ściskając w rękach buteleczkę eliksiru. Przeturlałem się na bok. Zobaczyłem jak Arandir, Sigbert oraz Zibbo odpierają ataki jako pierwszy i jedyny szereg. Oparłem się na prawej ręce, zasyczałem i padłem twarzą w błoto. O dziwo całkiem szybko. Czas wrócił do normalnego biegu. Podniosłem się wreszcie chwytając w lewą rękę miecz. Sytuacja wyglądała fatalnie i w moim odczuciu to był już koniec. Musiałem przykłęknąć, żeby zebrać się do walki. Wtedy usłyszałem jak Shamaroth mocnym głosem inkantuje zaklęcie. Barbarzyńcy zaczęli się zginać, przybierać różne dziwaczne pozy, pełne cierpienia. Głos Shamarotha jeszcze raz doszedł moich uszu.

- Zniszczenie!...

I tylko tupot nóg przebiegających nade mną towarzyszy...

Ciało chanyśa złożono na trawie. Yngvild opatrywała nogę Neila. Obieżyświat był zdrow i pomagał przy operacji. Podszedł do mnie Sigmar i rzekł zadowolony:

- Ty patrz. Odzyskałem swój młotek. Zdążyłem już zmieść nim kogoś tak, że przeleciał dobrych kilka metrów.

- O, to świetnie.

Odpowiedź dotyczyła oczywiście faktu znalezienia młotka. Przeszedłem się po oddziale. Hodo dyskutował z wicehrabią. Niektórzy rozmawiali, inni leżeli i odpoczywali.

Po niedługiej chwili chorąży dał rozkaz do wymarszu. Ramie działało już prawidłowo, a reszta oddziału miała całkiem dobrą kondycję i morale. Poza tymi, którzy nie mieli ich wcale...

Ostatnie starcie miało mieć przebieg na zrujnowanym forcie, na którym osadziły się skórojady. Ja, Obieżyświat, Arandir oraz Rien zostaliśmy wyznaczeni, aby dostać się na fort od tyłu. Pobiegliśmy za naszym Malinowym Przewodnikiem i weszliśmy do, niegdyś wypełnionej wodą, fosy. Tylko jedno miejsce nadawało się do podejścia. Wchodziliśmy cicho i powoli, jednak gdy byliśmy już prawie na górze pojawił się nad nami barbarzyńca z obleśnym uśmiechem na ustach. Groźby śmierci w naszym kierunku były potwierdzone próbami jej zrealizowania. Arandir przesunął się w prawo, ja w lewo. Obieżyświat został na środku, a pod nim, próbujący znaleźć lepszą pozycję, szermierz. Wszystkie nieśmiałe próby podejścia kończyły się fiaskiem. W końcu przesunąłem się trochę w lewo i trochę w górę, czego konsekwencji nie umiałem wtedy przewidzieć. Miecz zatrzymał się na łopacie tnąc skórę na całych plecach. Nie wiem ile kości mi złamano, ale byłem zadowolony z tego, że zemdlałem. Gdy się przebudziłem stwierdziłem, że o dziwo jestem w pozycji, dzięki której nie spadłem w przepaść. Sporo się namęczyłem, żeby wyjąć bandaż. Kiedy już go wyjąłem uznałem, że i tak na nic mi się nie przyda i tak naprawdę wolałbym znowu stracić przytomność. Obróciłem głowę. Arandir był już na szczycie w postawie obronnej. Znajdował się jeszcze dalej na prawo niż uprzednio. Rien i Obieżyświat blokowali mieczami potężne ciosy strażnika i powoli próbowali się wdrapywać.

Gdyby nie Arandir, który poza walką z jednym skórojadem próbował odciągnąć od nich drugiego, pewnie nie utrzymaliby się. Pełzałem powoli, aż w końcu się wczołgałem. Nawet udało mi się stanąć na nogi. W większe zdumienie sprawił mnie widok martwego Dinima leżącego w zaroślach. Chwyciłem miecz, aby móc się bronić. W tym czasie Arandir doprowadził już do bezpośredniego starcia i walczył z tym, który nie pozwolił na przejść. Barbarzyńca, jak większość, atakował potężnymi ciosami. Jeden Arandir dzielnie i pewnie zniósł, zrobił krok w bok, zbił kolejne cięcie i wypadł schylony do przodu wbijając elficką klingę w brzuch przeciwnika. Tamten z szeroko otwartymi ustami wypuścił gardłowo powietrze z płuc i to była ostatnia czynność w jego życiu. Niespodziewanie z krzaków wyskoczył ten, naprzeciw którego znajdował się wcześniej Arandir. Był ranny, ale zamachnął się cepem nie chybając elfa...

Zbiegliśmy na dół na środek fortu. Jeden wróg konał, innego który się bronił udało mi się ciąć od tyłu, co spowodowało ból na plecach. Reszta, uogólniając, była już martwa. Rigo miał twarz zalaną krwią i nie miał oka. Komuś leciała krew z nosa. Borys był wyraźnie dumny z siebie. Nie miałem mieć mu czego za złe. W końcu zasłużył sobie. Sigmar jeszcze odpoczywał siedząc na kamieniu. Wyglądało na to, że wszystko w porządku. Niesamowite. Żyjemy. I zaraz wrócimy do obozu. Teraz dopiero do mnie dotarło, że martwych można wskrzesić. Uśmiech wrócił mi na twarz. Może nie był on w szczytowej formie, ale był. I był ze mnie zadowolony...

„Zbieramy się do obozu!” zakrzyknął Hodo.

*Pisał Illima*